



Wybieg dla myśli spuszczonej z kagańca:

"B jak bliskość"

Oto klika myśli pisanych wbrew.

Wbrew temu, co jedynie słuszne i prawdziwe.

Wbrew temu, co poprawne i właściwe.

A może po prostu wbrew.

Myśli spuszczone z łańcucha społecznej aprobaty i latające dziko bez kagańca.

Uwaga: gryzą!

Dziś myśli zerwane ze smyczy biegają dziko wokół kolejnej intrygującej mnie kwestii, a mianowicie bliskości między dwojgiem ludzi. Wszyscy prędzej czy później spotykamy na swojej drodze istoty dla nas wyjątkowe, szczególne, czy też może raczej nasze drogi biegną czasem blisko siebie, dłużej lub krócej, bliżej lub dalej, może jakiś czas przeplatając się, a czasem jedynie krzyżując się ze ścieżkami tych, z którymi już w momencie spotkania odczuwamy równie nadzwyczajną, co niewytłumaczalną bliskość.

Nagle okazuje się, że istnieje między nami jakaś niepojęta synergia, która sprawia, że od pierwszej chwili czujemy, że chcielibyśmy zbliżyć się do nich, a oni nierzadko czują dokładnie to samo w stosunku do nas.

Co też takiego sprawia, że czujemy nieodpartą potrzebę bliskości właśnie z tym, a nie innym człowiekiem?

Powodów potrafi być bardzo wiele, mniej lub bardziej przez nas sobie uświadomionych. Wbrew pozorom - a zapewne także brew temu, jak wolelibyśmy siebie postrzegać - nie zawsze jest to pragnienie wspólnego poznawania świata, zarówno tego wokół nas jak i tego istniejącego w tej tak dla nas fascynującej istocie, choć nierzadko także i tego wewnątrz nas, który potrafi być dla nas czasem równie nieodgadniony i niezbadany, co świat tegoż dopiero co spotkanego człowieka.

Na pozór paradoksalnie czasem bywa i tak, że dopiero ów jakże dla nas ważny Ktoś pozwala odkrywać nam w nas samych świat, o którym do tej pory nie mieliśmy zielonego pojęcia. Które to doświadczenie, nawiasem mówiąc, nie zawsze musi być dla nas koniecznie przyjemnym doznaniem, choć z drugiej strony zawsze i bez wątpienia jest ono dla nas oświecającym, a przez to z definicji dobrym. Oczywiście, jeżeli w ogóle określenie to ma dla nas jakąkolwiek rację bytu, skoro postanowiliśmy już przecież wykroczyć poza ontologiczną dwoistość rzeczywistości...

Jednakże, jak już wspomniałem, wzajemne przyciąganie się ludzi, wynikające - jak bardzo chcielibyśmy wierzyć - z takich właśnie symbiotycznych w swym założeniu pobudek, jest scenariuszem tyleż optymalnym, co niekoniecznie najczęściej spotykanym, delikatnie rzecz ujmując...

Często, niestety, siła grawitacji, z jaką ciągnie nas do innych ludzi bądź też ich do nas, jest raczej wynikiem ich czy też naszego głodu energii. Głodu siły życiowej, której brak jakże

boleśnie odczuwamy, a którą tym wyraziściej widzimy w drugim człowieku, czy też którą on widzi w nas. Często atrakcyjność takiej nowo napotkanej osoby wzmacnia jeszcze podświadomie wyczuwana łatwość, z jaką przyjdzie nam na niej zerować.

O tym pisałem już wcześniej, więc tutaj nie będę się już nad tym specjalnie rozwodził.

Dość powiedzieć, że ta tzw. miłość, którą w takich chwilach z niedopuszczającym żadnych wątpliwości przekonaniem wmawiamy zarówno sobie, jak i sobie nawzajem, jest tylko pustą imitacją prawdziwej potrzeby bliskości bratniej nam duszy i jest tak naprawdę niczym innym, jak wynikiem posuniętej do ostateczności desperacji.

Powodowani bowiem głodem cudzej energii, zaniżonym poczuciem własnej wartości, chęcią udowodnienia sobie i innym, że jednak jesteśmy coś warte, bo ktoś jest jednak w stanie nas pokochać, rzucamy się szaleńczo w ramiona jakże apetycznie pachnącej dla nas miłością ofiary i wpijamy się w jej serce tym silniej, im bardziej w naszym wieje pustką.

Równie często co głodem cudzej energii, wessanie się w drugiego człowieka podszyte jest najpospolitszą chyba z wszystkich kaleczących nas emocji - strachem. Strachem przed ostracyzmem społecznym, a więc przed tym, co powiedzą inni ludzie, jeżeli przez życie kroczyć będziemy bez partnera, który zadeklaruje się, że pozostanie przy nas - wraz ze swoją jakże potrzebną nam miłością, oczywiście - 'na dobre i na złe'. Tak jakby jakikolwiek cyrograf podpisany przed urzędnikiem - wszystko jedno, czy w garniturze czy w sutannie - mógł komukolwiek zagwarantować czyjejkolwiek uczucia.

Choć chyba najczęściej jest to jednak ten najbardziej degradujący, najbardziej ubezwłasnowolniający ze wszystkich strachów - strach przed samotnością. Dlaczego uważam ten rodzaj strachu za najgorszy ze wszystkich? Ponieważ strach przed samotnością nie jest tak naprawdę obawą przed pozostaniem na świecie samym, ale strachem przed pozostaniem samym ze sobą; strachem przed ciszą, w której podnoszą głowę i obnażają zęby wszystkie demony trzymane do tej pory za zasłoną wypełnionej jazgotem świata codzienności. A przecież tego boimy się tak naprawdę najbardziej...

Takie związki, w których pozostajemy nie z miłości do drugiej osoby i chęci jej towarzyszenia nam w naszym życiu, ale ze strachu przed brakiem w nim kogokolwiek, choćby i możliwie najgorszego dla nas partnera, potrafią niestety zniszczyć tkwiących w nich ludzi do granic szaleństwa.

I znów jedynie z pozoru paradoksalnie, ci wciąż w nich tkwią, bo wszystko jest przecież lepsze niż borykanie się z samym sobą sam na sam, co zmusiłoby nas do spojrzenia sobie w twarz i zadania sobie najbardziej bolesnych i odrzucanych dotąd pytań:

Kim jestem?

Czym jestem?

Co mnie określa, definiuje, tworzy?

Jaki jest sens mojego istnienia?

Czego tak naprawdę chcę?

Pytania tak niewygodne i bolesne, że robimy wszystko, by się od nich opędzić, zajmując swoje umysły pracą, rodziną, małżeństwem. I - bynajmniej nie paradoksalnie - im bardziej absorbujące są nasze relacje z innymi ludźmi na wszystkich możliwych polach, tym lepiej, bo tym skuteczniej opędzamy się od delikatnych poszturchiwań naszej duszy, która próbuje przecież niestrudzenie obudzić nas z tych iluzji, w których jakże wciągającym wirze tkwimy, ale jest na tyle przepojona szacunkiem i empatią dla nas, że nigdy nie robi nic na siłę i pozwala nam tkwić w naszych w rzeczywistości ukochanych, a pozornie

jedynie znienawidzonych iluzjach tak długo, jak długo się przy tym upieramy.
A upierać potrafimy się przy nich po mistrzowsku.
Gdyby to za to przyznawali nam Nagrody Adamusa, bylibyśmy nimi tak obwieszeni, jak radzieccy generałowie orderami...

Kolejny i po raz wtóry jedynie pozorny paradoks takich związków polega na tym, iż tkwiąc w nich, bardzo często doskonale zdajemy sobie sprawę z tego, dlaczego w nich jesteśmy. Co więcej, dostrzegamy podobne uzależnienie u drugiej osoby. Zdajemy sobie sprawę z tego, że ona też jest uzależniona od naszej energii, że potrzebna jest jej codzienna jej dawka, aby mogła 'normalnie' funkcjonować. Dobrze wiemy, że nasz 'ukochany' jest w dużej mierze takim samym pasożytem, jak my sami.

A co w tym wszystkim najsmutniejsze to to, że jest nam z tym bardzo dobrze.

Tak naprawdę - choć nigdy się do tego przed sobą sami wprost nie przyznamy, ponieważ jakoś podświadomie czujemy się z tym jednak poniekąd obrzydliwie - im bardziej niezdolny do samodzielnego funkcjonowania jest nasz partner, tym bardziej nas to cieszy. Być może na co dzień pomstujemy do nieba, że przychodzi nam żyć z kimś takim, narzekamy na jego uzależnienie do nas, na niesamodzielną, na marudność, ale w istocie rzeczy czujemy się z tym doskonale.

A dlaczego?

Ponieważ im większe jest jego uzależnienie od naszej energii, im bardziej tej naszej 'ukochanej bratniej duszy' wydaje się, że nie potrafi bez nas żyć, tym bardziej czujemy się bezpieczni, tym mniej się obawiamy, że nagle stracimy nasze źródło jakże niezbędnej nam do życia energii, że - broń Boże - wyzwoli się ona z uzależnienia od nas zanim jeszcze my uwolnimy się od naszego uzależnienia od niej.

Bardzo często w takich wypadkach pilnujemy, czy aby - z jednej strony - nie okazuje już jakichś oznak uniezależnienia się od naszej energii, a z drugiej czy aby ktoś nie próbuje oderwać od niego naszej ssawki i w to miejsce przyssać się samemu. Bo przecież, skoro nasz partner jest z nami po to, aby czerpać naszą energię, zaspokajać swój głód i łątać zięjące dziury w aurze, to jest mu tak naprawdę wszystko jedno, skąd ta energia pochodzi, byle tylko go zasilala.

My wiemy, że jego energia póki co nam pasuje, ale przecież nigdy nie możemy mieć pewności, czy energia kogoś innego nie okaże się być bardziej odżywcza od nas.

Tak więc spędzamy większość czasu w związku na spowijaniu naszego partnera niczym pajak w sieć powiązań z nami, na budowaniu szafców i fos mających go zabezpieczyć przed zakusami innych podobnych nam energetycznych wampirów. Oczywiście nasz partner zazwyczaj robi dokładnie to samo z nami, ale nam wcale to nie przeszkadza, bo wiemy, że jest to doskonały dowód na jego uzależnienie się od nas, a o to nam przecież dokładnie chodzi.

W takim związku jest oczywiście również miejsce na bliskość - przynajmniej pozorną - nie jest ona jednakże oznaką tego, jak bardzo ciekawi nas, jaka jest druga osoba, jak bardzo nam się podoba to, kim jest, jak bardzo chcielibyśmy dzielić z kimś takim swoje życie, bo podobnie patrzymy na świat i chcemy razem go doświadczać dla samej przyjemności dzielenia się naszymi przygodami z kimś, kto jest dla nas na tyle ciekawy i piękny, że chcemy dzielić z nim również jego podróż przez życie.

Bliskość w takim wypadku służy jedynie temu, aby więcej wiedzieć o tym, co się dzieje w świecie naszej 'ukochanej' istoty, zarówno w tym wewnętrznym, jak i tym zewnętrznym, a wszystko po to, aby móc skuteczniej kontrolować, czy wszystkie ssawki są na swoim

miejscu i czy aby nikt nie próbuje podpiąć się pod naszego żywiciela.

Tak właśnie, z mojej perspektywy, funkcjonuje ogromna większość związków.

'Wielka romantyczna miłość' jest tylko kolorowym, przykuwającym wzrok płaszczykiem zakrywającym bardzo smutną, by nie powiedzieć brzydką, prawdę. Prawdę o wzajemnie uzależnionych od siebie istotach, których światem - nie tylko materialnym, ale też uczuciowym - rządzi merkantylizm i klientyzm, a więc przekonanie, że konieczne jest stworzenie między dwojgiem 'kochających się' ludzi emocjonalnej zależności, aby móc osiągnąć korzystny dla nas bilans energetyczny.

Smutną konsekwencją takiego stanu rzeczy jest to, że ludzie, którzy powinni być sobie z definicji najbliżsi i najbardziej godni zaufania, stają się swoimi największymi wrogami i mistrzami manipulacji - pociągając za nasze sznureczki tak, aby jak najlepiej dopasować nas do swoich własnych potrzeb energetycznych i odnosząc się z definicji wrogo do wszystkiego w swoich 'ukochanych', co nie jest zgodne z ich własnym interesem.

A przecież możliwa jest jeszcze inna bliskość między dwojgiem ludzi. Bliskość budowana w sposób naturalny i autentyczny, bo między istotami, które wiedzą, że są kompletne, doskonałe i piękne dokładnie takie, jakie są i nie potrzebują cudzej energii do tego, by żyć, by jaśnieć, by tworzyć.

Jeżeli zbliżają się do innych ludzi, to po to, by podzielić się z nimi miłością, której i tak mają w nadmiarze i której nie potrzebują wysysać z innych.

Taka bliskość jest najpiękniejsza, bo wynika z naszej niewymuszonej chęci do przebywania z kimś, kto nas fascynuje, kto jest dla nas tak piękny, że wart jest poznawania wciąż i wciąż od nowa;

z kimś, komu chcemy okazać naszą miłość i szacunek dla tego, kim jest, jak również dla tego, kim nie jest - a to oznacza pełną jego akceptację i radość z tego, że jest taki, jaki jest, bo właśnie taki jest doskonały.

Taka bliskość czerpie z odczuwania szczęścia wtedy, gdy ktoś taki jest obok nas, ale i nie przekształca się w smutek wtedy, gdy go przy nas nie ma, ponieważ on nie jest nam wcale potrzebny, nie jest konieczny do życia, bowiem wszystko to, co jest nam potrzebne do radowania się życiem, całą jego pełnią, już mamy, zawsze mieliśmy i zawsze mieć będziemy - absolutną miłość do siebie i do wszystkiego wokół; miłość która nie próbuje niczego ani nikogo zmieniać ani 'ulepszać', a jedynie cieszyć się tym, że istnieje.

Angelwolf

Pt paź 15, 2010